



ŚWIADEK  
KORONNY

---

JERZY LECHOWSKI



# Spis Treści

## CZEŚĆ PIERWSZA

- W BARWACH ARCYBRACTWA **12**
- RUCH – DYNAMO KIJÓW 5:0! **19**
- FENOMEN Z SOSNOWCA **28**
- FORSOWANIE  
„ŻELAZNEJ KURTYNY” **35**
- DIABELSKI TUZIN **46**
- GINĄ TALENTY **53**
- ZACZEŁO SIĘ W POZNANIU... **59**

## CZEŚĆ DRUGA

- KRÓL „RYCERZY WIOSNY”
- UCZTA ZADŻUMIONYCH
- BENEFIS CIEŚLIKA
- „KICI” BYŁ WIELKI!
- RADIOLOG CZY SELEKCJONER?
- BOJE TRENERÓW  
Z DZIENNIKARZAMI
- INTERWIEW Z ROUSEM I KOPĄ
- „PORTUGALCZYCY”...

- DYSKWALIFIKACJA  
ZA... KUFEL PIWA
- CHARLTON I BEST  
W CIENIU LUBAŃSKIEGO
- POLONIA BYTOM  
Z PUCHAREM AMERYKI
- OŚLIZŁO I JAROSIK  
TAŃCZĄ KANKANA
- ZŁOTE GODY PZPN
- POZYTYWISTA  
Z „CZUCIEM I WIARĄ”
- PUCHAR ŚWIATA  
NA SZKLANYM EKRANIE
- ANDZIA IZBĘ ZAMIATAŁA...

## CZEŚĆ TRZECIA

- SPÓR O DEYNĘ
- POLSKI FINAŁ NA PRATERZE
- ROCK AND ROLL  
W „KONGRESOWEJ”
- BLASKI I CIENIE  
„WARIANTU RYZYKO”
- W DRODZE PO OLIMPIJSKIE ZŁOTO
- NARODZINY TYGODNIKA  
„PIŁKA NOŻNA”
- KANCEROWANIE LIGI
- JASZYN CHWALI KOSTKĘ
- REKONESANS W PORT-AU-PRINCE
- GEST TRENERA W SUTANNIE
- „BIAŁY PELE” W ROLI GOŁASA

- HODOWCY SPRYCIARZY  
I PASOŻYTÓW
- KLĘSKA POD AKROPOLEM
- SĄD NAD „SREBRNĄ DRUŻYNĄ”
- PO GÓRSKIM BYŁ GMOCH
- POWRÓT LUBAŃSKIEGO
- SZOPKA MISTRZA MĘTRAKA
- „GORĄCA LINIA”  
Z „BIAŁYM DOMEM”
- BALANGA JUNIORÓW  
NA TURNIEJU UEFA
- ARGENTYŃSKIE FRUSTRACJE
- „BANDYTA” Z MONTE CARLO
- „AFERA” NA OKĘCIU  
I... DRESZCZOWIEC NA MALCIE
- TAJEMNICE HISZPAŃSKIEGO  
MUNDIALU
- PARSZYWY LOT  
Z BRĄZOWYM MEDALEM

## CZEŚĆ CZWARTA

- ZAWODOWSTWO?  
PZPN – TAK! GKKFiS – NIE!
- EMPIRYZM  
KAZIMIERZA GÓRSKIEGO
- ANTEK W KABINIE PILOTA
- AWIONETKA Z HESEL DO TIRANY
- MEKSYKAŃSKA TAKTYKA
- ZABAWA W ARGONAUTÓW
- TAJNY RAPORT

- URODZINOWA GALA
- CZKAWKA „NAPOLEONA”
- WIECIE KOLATOR...  
SŁUCHAJCIE ŻELAZKO...
- TRENER PREZESEM PZPN
- ŚLEDZTWO W NOWOJORSKIM  
KONSULACIE
- KARA BEZ ZBRODNI
- PONURY JUBILEUSZ
- UMIZGI „MAGNATA”
- ARGUSOWE OKO PANA JANKA
- PODCIĘTE SKRZYDŁA ANIOŁA

## CZEŚĆ PIĄTA

- JAK „DŻUMA” ALBERTA CAMUSA
- NIEDZIELE I ŚRODY... CUDÓW
- PO ENGELU BYŁ BONIEK
- DAWNYCH WSPOMNIEŃ CZAR...
- FAŁSZYWE „DIAMENTY”
- EWOLUCJA SYSTEMÓW GRY
- JEDNODNIOWI MILIONERZY
- FAWORYCI TRENERA STULECIA
- LIGA NA... ŻUŻLU
- PRZESTĘPCY ZRZESZENI  
PRZECIWKO NAM
- KODEKS PROFESORA LIPCA
- „PIŁKARSKI SENAT” Z MIODOWEJ
- STARZY CZY MŁODZI?
- OREŻ „CZWARTEJ WŁADZY”
- TO WIE TYLKO PIECHNICZEK?

∞ CZEŚĆ I ∞

# FUTBOL ZNIEWOLONY

Coubertin na poligonie

Studenckie kopanie

Juniorzy za „żelazną kurtyną”

„Ała” przegrywa garnitur

P(łać) K(onduktorowi) P(ołowę)

Selekcjonerzy z... biura paszportów

Po czerwcu był październik

PZPN redivivus!

**W** rzesień 1953 był ciepły i pogodny, żywo przypominał ten pamiętny z 1939 roku. Lato też gorące. Już bez praktyk wakacyjnych i studenckich „rozkoszy” na akcjach żniwnych. Teraz biegaliśmy w kamaszach w krainie lasów i jezior warmińsko-mazurskich... Tam właśnie przebrano nas za żołnierzy. To finał trwającego trzy lata studium wojskowego. Wiedzieliśmy już, jak bronić się przed imperialistami i... amerykańską stonką ziemniaczaną. Teraz trzeba było to potwierdzić na poligonie. Bywało wesoło. Pewnego razu na zajęciach politycznych harmider był niesamowity.

– Kto tak wrzeszczy?! – wściekał się dowódca uniwersyteckiej kompanii.

– To Balzac! – krzyknął ktoś z sali.

– Balzac, wstać!... Do raportu!

Wybuch śmiechu skwitował ten rozkaz.

– Obywatelu kapitanie, to niemożliwe! Balzac już dawno nie żyje... W dziewiętnastym wieku był francuskim powieściopisarzem...

W Muszakach był też czas na sport. Najczęściej i najchętniej graliśmy oczywiście w piłkę nożną. W tej zabawie nie byłem gapami karmiony, przeto nic dziwnego, że nasz opiekun sportowy wytypował mnie do reprezentacji jednostki. I w tym momencie stałem się „świadkiem koronnym” pierwszego przestępstwa. Drużyna wojskowa z Muszaków grała wówczas bodajże w A klasie. Szło jej nie najlepiej, przegrywała mecz za meczem. Ktoś w sztabie jednostki wpadł na pomysł, aby wakacyjni żołnierze, mający pojęcie o futbolu, pomogli wygrzebać kulający zespół z dołów tabeli. Na ratunek wezwano trzech studentów z warszawskiej „dziennikarki”, jednego „prawnika” i jednego „filozofa”. Zawieziono chłopaków do Olsztyna. Wygrali. Piszę w trzeciej osobie, bo mnie tam nie było. Nagle odezwała się we mnie dusza barona de Coubertina: – *„Nie pojadę, to nie fair... Nie jestem uprawniony do gry! Zresztą, już w poniedziałek trzeba będzie zdawać egzamin z wyszkolenia strzeleckiego.”*

Na chęci poszanowania zasady „fair play”, a to kłóciło się z interesem pułkowej drużyny, wyszedłem jak Zabłocki na mydle. Nie zdałem egzaminu ze strzelania!

– A wam jak poszło? – zde gustowany zapytałem Andrzeja Marondła i Tadeusza Sasa. – Zdaliście?

– Na piątkę! – zgodnie odpowiedzieli. – Egzaminator uściśnął tylko nasze dłonie, podziękował i życzył dalszych sukcesów w piłkarstwie i... zawodzie dziennikarskim.

– Czyście poszaleli? O nic nie pytał? Żartujecie...

– Nie bój nic, pomęczysz się, ale poprawkę zdasz... Szkoda jednak, że nie pojechałeś z nami do Olsztyna. Teraz mógłbyś się spokojnie klepać po brzuchu...

Do Warszawy wróciłem jak struty. Zły nastrój łagodziła treść nakazu pracy. Mam pracować w „Przeglądzie Sportowym”! Ostateczne rozstrzygnięcie miało jednak zapaść w gabinecie dyrektora III delegatury Zarządu Głównego RSW „Prasa”. Panem i władcą był tam towarzysz Podhorec, z wyglądu i sposobu wyrażania myśli, jakby nieco odbiegający od polskich norm. On też usiłował mnie egzaminować! Wyszedłem ze szkoły Adama Schaffa i Leszka Kołakowskiego oraz Edwarda Lipińskiego i Zdzisława Sadowskiego, przeto w filozofii i ekonomii nie znalazł na mnie haka. O prozie Fiodora Dostojewskiego i Lwa Tołstoja Podhorec miał jeszcze mniejsze pojęcie. Gustował w literaturze proletariackiej. Nade wszystko upodobał sobie powieść Fiodora Gładkowa – może jedyną, którą przeczytał – „Cement”. Taki typowy socrealistyczny produkcyjniak...

– Znacie to, towarzyszu? – zapytał.

– Oczywiście! To była lektura obowiązkowa...

– Co wam się tam najbardziej podobało?

– Wątki erotyczne... Autor daje do zrozumienia, że aktywiści partii bolszewickiej też są żywymi ludźmi... Nie stronią od miłosnych rozkoszy...



Spojrzał na mnie z politowaniem:

– To wszystko? A gdzie walka klasowa i budowa komunizmu?... Tego nie dostrzeżliście? Popracujecie w „Głosie Koszalińskim”...! Może tam dojrzejecie ideowo...

Prosto z Zarządu Głównego, mieszczącego się przy ulicy Bagateli, pieszo poszedłem aż na Żurawią, gdzie wtedy w kilku pokoikach gnieździła się redakcja „Przeglądu Sportowego”.

– Co pan taki bledziutki? – czule zapytał woźny Czesław Miszczyk.

Był to chłop, jak dąb, wysoki, z brzuszkiem i rumieńcami na twarzy. Dostojna postać! Odniosłem wrażenie, że jeśli gdziekolwiek i kiedykolwiek odrodził się humor okazjonalny i ludowe mądrości „Dzielnego wojaka Szwejka”, to właśnie w osobie naszego woźnego. Był stateczny, spokojny aż do bólu, na wszystko miał czas, tryskał przy tym optymizmem. Zwierzyłem się panu Czesiowi z moich kłopotów.

– W porządelu. Załatwi się...

Z przyzwyczajenia podrapał się po głowie, cmoknął, przełknął ślinę i podniósłszy palec wskazujący w górę, ceremonialnie artykułował swoje mądrości:

– Tak jest w każdym urzędzie – redaktorku. Ta cholerna biurokracja... Ale będzie dobrze. Chce pan pracować w „Przeglądzie”? Chce! Chce pana zatrudnić szefunio Strzelecki? Chce... Ta będziesz tu chłopie pracował. Ja to panu mówię – Czesław Miszczyk, żołnierz Armii Andersa. Będzie miło... U nas ZMP-owcy lubią się zabawić... Raz nawet, po jakimś zebraniu, nieźle spili, a potem rozebrali, delegatkę ze Śródmieścia...

Kołowrotek wokół mojego zatrudnienia w „Przeglądzie” trwał do połowy września. Klamka zapadła w gabinecie Leszka Wyszackiego, wówczas instruktora w biurze prasy KC, później redaktora naczelnego w tygodniku „Stolica”. W „PS” pisał felietony pod pseudonimem Leonidas. Otrzymałem pierwsze



zadanie. Sekretarz redakcji, Emilia Godlewska-Szczudłowa, babka czterdziestoletnia, mająca słabość do młodych chłopaków, skierowała mnie na skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Ronda jeszcze nie było, rozkopy, bałagan jak po potopie.

– Pracują tam junacy z SP i z OHP – powiedziała. – Zapytajcie, jak się czują w Warszawie i czy uprawiają sport. Tu, w stolicy i u siebie w domu... Ciepło to opiszcie!

Temat nie w moim guście, ale debiut udany. Powoli poznawałem zespół, nie mogłem jednak zidentyfikować autora „Przeglądu Wydarzeń Piłkarskich”. Któregoś dnia nieśmiało zapytałem:

– Który to jest ten redaktor Andrzej Jurski?

– Ten i ów spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– To ty nie wiesz, że te felietony firmuje Jurek Zmarzlik? Pod swoim nazwiskiem w „Reflektorem po ringach” wychwala tylko boks i nazywa to szlachetną walką na pięści. W piłce najważniejszy jest Grzesio Aleksandrowicz...

Akurat „pana Grzegorza” znałem już dość dobrze. Był przecież wybitnym sędzią piłkarskim. U schyłku roku akademickiego 1953 podpadłem redaktorowi na boisku Drukarza w Parku Skaryszewskim podczas meczu finałowego Uniwersytet – Politechnika o mistrzostwo stołecznych wyższych uczelni. W zespole PW grał mój kolega, niegdyś z tej samej klasy gimnazjum i liceum im. Bolesława Prusa w Skierniewicach, także futbolowy partner z VIS-u, HKS-u i z Unii, Andrzej Zelenay. Teraz był zawodnikiem Polonii Warszawa. Dziwiłem się, że ligowiec zabawia się w rozgrywki uczelniane. I jeszcze się przed nami popisuje! Poniosły mnie nerwy. Przy stanie 2:2 posłałem Andrzejowi wiązaneckę wyrafinowanych przekleństw. Aleksandrowicz to usłyszał i usunął mnie z boiska. Zespół UW kończył mecz w „dziesiątkę” i... przegrał 2:3. Miałem wyrzuty sumienia.

W pracy red. Aleksandrowicz dyskretnie wypominał mi to „niesportowe zachowanie”. Był jednak tolerancyjny, miał niezwykle wrażliwe serce, wzruszał się, umiał przebaczać. Ale tylko i wyłącznie poza boiskiem! Tam był twardy i zdecydowany. W redakcji od początku obdarzył mnie sympatią i zaufaniem. W latach zniewolenia, kiedy każdą dziedzinę życia kształtowano na sowiecką nutę, narzucano wzory i praktyki obce polskiej tradycji i przywiązaniu do swobód obywatelskich, nie było to łatwe. Wokół rodziły się podejrzenia. Wiedziano – i tego nie ukrywano – że w każdym zakładzie produkcyjnym, urzędzie, no i oczywiście w redakcji – funkcjonowała „spółdzielnia ucho”. W „PS” też mieliśmy takich gagatków. Mnożyły się rusycyzmy, stąd u nas w miejsce pojęcia „zebranie redakcyjne” pojawił się neologizm „letuczka”.

Pracowaliśmy i pisaliśmy pod dużą presją polityczną. Nie łatwo było płynąć pod prąd. Krytyka była mocno tonowana już w czujnym kierownictwie redakcji. Dygnitarze z GKKF byli z zasady nietykalni. Jakaś drobna łatkę można było przypiąć wyłącznie urzędnikom niższego szczebla. Dyrektorom departamentu już nie! Pierszeństwo miały teksty te z gatunku „po linii i na bazie”. Tylko we własnym wąskim gronie mogliśmy przy kuflu piwa ubolewać, że kluby zastąpiono kołami sportowymi i pozmieniano ich nazwy. Wisła była wówczas Gwardią, Ruch Unią, Polonia Warszawa i Lech Poznań Kolejarem, ŁKS Włókniarzem, Cracovia Ogniwem, Warta Związkowcem, Legia CWKS-em, zaś AKS Chorzów, Odra Opole i Lechia Gdańsk Budowlanymi.

Autorytarna władza głosiła równość społeczną, ale nawet w sporcie jej nie było. Zlikwidowano związki sportowe. Powołano na obcą modłę pionierzy i zrzeszenia. Jedne były uprzywilejowane, inne tylko tolerowane. Znane i zasłużone kluby dyskryminowano. Piłkarską ekstraklasę uznano za przeżytek burżuazyjny. Prześladowano działaczy, wielu więziono, zsyłano na Sybir. W PZPN, zanim przekształcono go w Sekcję Piłki Nożnej GKKF, pozbawiono prezesury generała Wład-

sława Bończę-Uzdowskiego. W Komitecie Fizkultury były wysoki oficer bezpieczeństwa Apolinary Minecki, tak skwitował zdymisjonowanie generała:

– Dajmy mu na pożegnanie radio, niech sobie starzec posłucha Londynu...

Pojęcia „leśne dziadki” wówczas jeszcze nie znano. Razić jednak musiało określenie „starzec”. Generał miał przecież niewiele ponad 60 lat, a Jego zasługi dla PZPN były niepodważalne! **Władysław BOŃCZA-UZDOWSKI** był „prezesem dwóch epok”. Pierwsza, dość długa, przypadła na lata międzywojenne, natomiast druga, już znacznie krótsza, na czas powojennych zniszczeń i odbudowy. Obie te epoki były wyjątkowo trudne dla polskiego piłkarstwa. Generał wyszedł z nich obronną ręką. Przewyciężył organizacyjne i szkoleniowe niedostatki, niedobory finansowe i starał się wzbogacić wiedzę większości działaczy o futbolu. Na przekór tym trudnościom tworzył kolejne okręgowe związki piłki nożnej. Był z tego dumny. Nie budował domków na lodzie. Umiejętnie pozyskiwał i łączył działaczy dla wspólnej sprawy. Prasa była po jego stronie.

W pryncypiach stanowczy, twórczy w dyskusjach, imponował siłą perswazji i argumentów. Wygrał przede wszystkim dwie bitwy o ligę: w roku 1928 pozyskał do niej PZPN i Cracovię, a w 1947 przekonał ówczesnych propagandzistów, że liga to nie „przeżytek burżuazyjny”. Stworzył zręby przemysłanej pracy z młodzieżą. Dostrzegł w krzewieniu sportu elementy obywatelskiego wychowania. Wierny żołnierskiej służbie i honorowym powinnościom oficera pielęgnował te wartości również w piłkarstwie. Przybliżał w tym dziele młodzieży ideały angielskiego generała Roberta Baden Powella, twórcy światowego skautingu.

Nasz prezes – generał był nieprzejednany wobec jednostek niezdyscyplinowanych. Kierując się tymi zasadami w roku 1936 usunął z reprezentacji olimpijskiej Ernesta Wilimowskiego. Po wojnie nadal był promotorem cnót moralnych. Ale wtedy już było to w modzie, przypominało walkę Don Kichote’a z

„wiatrakami”. Nadszedł bowiem czas dyktatury proletariatu. Zlikwidowano kluby i związki sportowe, triumfowała odgórnie sterowana biurokracja i obowiązywał kult wartości o zgoła innym wydźwięku. Władysław Bończa-Uzdowski musiał odejść. Ciężyła na nim legionowa przeszłość, generalskie szlify i... własne zdanie.

## W BARWACH ARCYBRACTWA

Wkrótce redakcję z Żurawiej przeniesiono w Aleje Szucha, wtedy I Armii Wojska Polskiego. Niewielka poprawa, nadal tłoczno, jak w kołchozie. Od początku pracowałem w jednym pokoju z Grzegorzem Aleksandrowiczem i Zygmuntem Weissem. Staralem się ich przekonać, że moje miejsce jest przy ”przeładowej” piłce nożnej. Kierownictwo widziało to inaczej, bo najpierw starano się mnie uszczęśliwić pisaniem o hokeju na lodzie (przez jakiś czas prowadziłem rubrykę w „Pogoni za krążkiem”), a nawet o boksie. Jak to zmienić? Napisałem polemiczny materiał pod tytułem: „NIE WYPACZAJMY SENSU ROZGRYWEK O PIŁKARSKI PUCHAR POLSKI”. Tekst ten przekazałem bezpośrednio Jerzemu Zmarzlikowi.

– *Dlaczego to takie długie?* – zapytał.

Była to typowa reakcja zastępcy redaktora naczelnego. Pomysły w pracy miał wspaniałe, pisał błyskotliwie, ale chęci i chyba także talentu do adiustacji tekstów innych autorów niewiele. Był z natury złośliwy, co drugą kartkę rękopisu wyrzucał do kosza. Już raz po dowcipnym artykule o hokeju na lodzie mnie też nie dał żadnych szans:

– *To się nadaje do „Szpilek”, a my jesteśmy poważną gazetą...*

Czy taki sam los spotka moje uwagi o Pucharze Polski? Tym razem Zmarzlik przeczytał każdą kartkę i mile zaskoczył:

– Jesteście odważni – powiedział. – Polemizujecie z redaktorem Maliszewskim ze „Sportu” Katowice. Wysoko sięgacie...

Red. Tadeusz Maliszewski był autorem komentarza „**Udał nam się Puchar Polski**”. On chwalił niespodzianki, natomiast ja napisałem, że wszystko ma swoje granice. Nie może klubik z LZS-u wygrywać z mistrzem Polski. Wielcy bimbają sobie z tych rozgrywek! Co na to lider „Sportu”? Przyjął tę różnicę zdań spokojnie, wyraził nawet chęć poznania mnie. Poczujęm się zaszczycony, wszak zaraz po wojnie Maliszewski był redaktorem naczelnym „Przeglądu Sportowego”, a w światku piłkarskim traktowano go jak rabina w gminie żydowskiej. Uważano, że wygłasza prawdy absolutne.

Właściwie nazywał się Narcyz Suessermann, pochodził ze Lwowa, gdzie w czasie okupacji sowieckiej był kierownikiem drużyny piłkarskiej Spartaka. Grał tam Kazimierz Górski. Spartakowcy zwracali się do Suessermanna per „panie Iciu”. We Lwowie sklepy spożywcze były wtedy puste, brakowało jedła i napoju, ale „pan Iciu” w sobie tylko wiadomy sposób otrzymywał coraz to lepsze i większe deputaty. Był sprytny, miał głowę do handlu, lubił przy tym piłkę nożną i dobrze ją znał. Po wojnie początkowo mieszkał w Łodzi, a potem przez długie lata w Warszawie. Dość często opisywaliśmy te same mecze, „pan Iciu” w „Sporcie”, ja w „Przeglądzie”. Wdarłem się do arcybractwa, tak wtedy tu i ówdzie nazywano dziennikarstwo sportowe.

Redaktor Aleksandrowicz postawił przede mną dwa zadania: najpierw muszę zdać egzamin sędziowski, a potem dobrze poznać trenerów i stale wzbogacać swoją wiedzę o futbolu. Po studiach dziennikarskich na UW trochę polizałem tych mądrości na rocznej specjalizacji w AWF, więc z ochotą podjąłem wyzwanie. Z przepisów gry w piłkę nożną egzaminowali mnie dwaj przyjaciele redaktora, Józef Komorowski i Alfred Nowakowski z Warszawskiego Kolegium Sędziów. Na kursach sędziowskich w Jeleniej Górze i Wiśle pogłębiałem tę wie-



dzę. Jednak z dużo większą rozkoszą zgłębiałem tajniki piłkarskiego szkolenia. Byłem pilnym słuchaczem na każdej trenerskiej naradzie, studiowałem wszystkie dostępne książki na ten temat.

W lutym 1954 roku na jednym z zebrań Sekcji Piłki Nożnej GKKF osobiście poznałem: Wacława Kuchara, Mieczysława Balcera, Ryszarda Koncewicza, Wacława Pegzę, Tadeusza Forysia, Michała Matyasa, Artura Woźniaka, Zygmunta Jesionkę... Ten ostatni wydał mi się w tym towarzystwie osobą wtedy najwyższej cenioną i szanowaną. Był odważny i pryncypialny w ocenie sytuacji: *„Zły styl pracy sekcji piłkarskiej przy GKKF – powiedział – wpływa demobilizująco na aktyw terenowy. Braki w metodyce szkolenia, chałupnictwo trenerów i niewłaściwa gospodarka materiałem ludzkim spowodowały zahamowanie rozwoju poziomu naszej piłkarskiej czołówki i klas średnich”*.

Była to na owe czasy druzgocąca krytyka władz fizykultury. Magister Jesionka w formie nieco zawołowanej dał do zrozumienia, że w GKKF pracują piłkarscy ignoranci, ludzie, którzy z przyczyn doktrynalnych zaszeregowali piłkę nożną do czwartej kategorii sportu w Polsce. To właśnie oni, działacze rangi Karola Bergtala z Warszawianki, Władysława Wilczyńskiego z robotniczego „Sarmaty”, Franciszka Gęsiora uczestnika bitwy o Anglię czy też doktora Józefa Lustgartena – jednego ze współzałożycieli Cracovii, skazali na zapomnienie, a funkcjonariusze MBP na katorgę. Zastąpiono ich co najwyżej trzecim garniturem urzędasów z zaciągu „nie matura lecz chęć szczerą”...

W Gdańsku na wspólnym zebraniu Rady Trenerów i Komisji Młodzieżowej debiutował w roli szkoleniowca Kazimierz Górski. Przed rokiem jeszcze strzelał bramki dla Legii, a teraz po kursach w Krakowie, miał już uprawnienia trenera II klasy. Ówczesnym tuzom futbolu, starym wyjadaczom w sztuce szkolenia, przedstawił nowatorską wizję pracy z młodzieżą już w wieku 12-13 lat. Większość trenerów z uznaniem przyjęła propozycje Górskiego, tylko Czesław

Krug, który był wówczas naczelnikiem Sekcji Piłki Nożnej GKKF, miał pewne wątpliwości:

– Trzeba te wszystkie uwagi skierować do GKKF i skonsultować z trenerem Hajdu, wszak to on odpowiada za całość szkolenia w Polsce.

Krugiem kierowała nie tyle zawodowa lojalność, ile zależność służbowa od wiceprzewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, Pawła Procka. Była to postać równie barwna, co komiczna, ale futbolowi przychylna, w przeciwieństwie do ogromniej masy urzędników z Alei Róż. Procek miał ogromne zaufanie do trenerów z Węgier. Nic dziwnego, wtedy całe piłkarstwo węgierskie uchodziło w Europie za wzór wszelkich cnót. Osiągnięcia klubowe „wielkiego Honvedu” Budapeszt i „cudownej jedenastki” Gustava Sebesa były przecież imponujące, a metody szkoleniowe godne naśladowania. Cały piłkarski świat był zwłaszcza pod wrażeniem wygranej Puskasa i spółki z Anglią na Wembley 6:3. Wątpliwości musiał jednak budzić gangsterski u Madziarów styl kaptowania zawodników. Rozbijano inne kluby, by zbudować potęgę drużyn wojskowych i milicyjnych. Pełne naśladownictwo złych praktyk przeniesionych z ZSRR było tam jeszcze większe, niż w Polsce.

Przed Olimpiadą w Helsinkach sprowadzono do Polski Tibora Kiralyego, a zaraz po nim właśnie Nandora Hajdu. Obaj byli trenerami drugiego rzutu. Ten drugi, pulchny i dość leniwy zwykł wygłaszać swoje racje wyłącznie ex cathedra. Do pracy na boisku nadawał się tak, jak wół do karety. Rozruszał jednak pracę z młodzieżą. Co jakiś czas organizował zloty juniorów z całej Polski. Dla mnie była to nowość i dobra szkoła selekcji. Głównie w Warszawie na boisku Marymontu i Goplany w Inowrocławiu uczyłem się odróżniać prawdziwy talent od tępawego kopacza piłki. Hajdu, najczęściej z dymiącym cygarem w gębie, wydawał polecenia naszym trenerom z wygodnego fotela. Miał kilku polskich asystentów, z reguły jednego z nich posyłał po piwo i... „Przegląd Sportowy”. Chciał wiedzieć, co tam o nim piszą.



Trener Tadeusz Foryś lubujący się w porównaniach uważał, że Węgrzy nieudolnie pozowali na muszkieterów z czasów Ludwika XIII i kardynała Richelieu. Trzymali ze sobą, jeden był gotów wspierać drugiego. Ale pomoc naszemu futbolowi nie potrafili. Magister, jak zwykle z humorem i pewną dozą ironii, scharakteryzował ich piłkarskie wyczyny. Byli zwykłymi kuglarzami! Dokonania Kiraly'ego i Hajdu były więc mierne. Jeszcze gorzej od nich zaprezentował się w Polsce trzeci z tych piłkarskich muszkieterów, Istvan Seidl-Szedler. To był dopiero dyletant! Opowiadał o futbolu i jego historii bajki jakby żywcem wzięte z wyobraźni Hansa Christiana Andersena.

... „Dawno, bardzo dawno temu na włoskim dworze był król, który miał dzieci. Dzieci te miały blade liczka. Król zawołał medyków, ale oni nie wiedzieli, dlaczego królewskie dzieci mają blade liczka. Pewnego razu dzieci poszły na łąkę, tam leżał jakiś kamyk i dzieci zaczęły go kopać. Wróciły do pałacu, a król patrzy, że mają rumiane liczka. Król zadzwonił po doktorów (ktoś z sali wtedy krzyknął – chyba zębami), oni popatrzyli na dzieci i mówią – to jest dobre! Wtedy król nakazał, żeby służba dała dzieciom wypchany świński pęcherz, to one będą go kopały. No to dzieci bawiły się tym pęcherzem na łące i już zawsze miały różowe liczka. Na tym dworze byli dwaj angielscy żołnierze. Potem pojechali do domu i tam też kopali świński pęcherz. I to jest właśnie ten początek angielskiego futbolu”...

Rok 1954 był przełomowy w europejskim i polskim piłkarstwie. Powstała UEFA. Nie od razu przystąpiła do niej nasza federacja. Kongres założycielski Europejskiej Unii Piłkarskiej odbył się w Bazylei w czasie mistrzostw świata w Szwajcarii. Przedstawiciela SPN GKKF tam nie było. Od Zachodu również w piłkarstwie dość długo dzieliła Polskę „żelazna kurtyna”. Sekcję piłkarską Głównego Komitetu Kultury Fizycznej nieoficjalnie reprezentowali w Bazylei działacze z Czechosłowacji. Na tymże Kongresie był jednak (w roli spr-

wozdawcy) red. Grzegorz Aleksandrowicz. On to właśnie – po powrocie z mistrzostw świata – dość długo i szeroko opowiadał mi o tym historycznym wydarzeniu. Był też jednym z tych, którzy przyspieszyli przystąpienie SPN GKKF do UEFA. Wokół „zimna wojna”, podział kontynentu na dwa wrogie obozy, a tu tak spektakularna symbioza. Nasze piłkarstwo, mimo barier politycznych, zniewolone przez narzucony system, biurokratów i wyznawców sportowego centralizmu, akurat w tej materii już nie stroniło od Europy.

Zgłoszono reprezentację do mistrzostw świata w Szwajcarii. Los przydzielił nam w eliminacjach reprezentację Węgier. Strach obleciał tchórzliwych decydentów z GKKF, w obawie przed kompromitacją nakazali wycofanie zgłoszenia. Do akcji wkroczyli natomiast entuzjaści gospodarki planowej. W przemyśle, rolnictwie, budownictwie i handlu realizowano właśnie „sześciolatkę”, teraz podobnym pomysłem postanowiono uszczęśliwić piłkę nożną. Uchwalono „futbolową czterolatkę”. Potraktowano futbol jak zakład produkcyjny. Do roku 1958 dogonimy Węgrów i zbudujemy drużynę na miarę mistrzostw świata w Szwecji. Na półmetku tych utopii zrezygnowano jednak z udziału w Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne. Tchórzostwo okazało się silniejsze od marzeń.

Dla mnie osobiście rok 1954 był udany. Pisałem już sprawozdania z rozgrywek I i II ligi. Poznałem czołowych trenerów. Po rekordowym w Budapeszcie zwycięstwie reprezentacji Węgier nad Anglią 7:1 na dobre zaprzyjaźniłem się z Kazimierzem Górskim. Był on jednym z obserwatorów tego niecodziennego wydarzenia. Opowiadał, *„jak to Węgrzy pod wodzą Puskasa zagrali Wyspiarzom czardasza”*. Zwierzenia młodego trenera ukazały się oczywiście na łamach „PS”. Wkrótce przy warszawskim piwku i żółtym serze z mieloną papryką przeszliśmy na „per ty”. Spotykaliśmy się coraz częściej, umacniając naszą zażyłość również innymi trunkami, głównie ulubionymi przez Kazia „harcerzykami”. Później była też „Wyborowa”, bo dołączył do nas Wiesław Motoczyński.

„Przegląd Sportowy” pierwszej połowy lat pięćdziesiątych nie był redakcją abstynentów, tam nikt „nie wylewał za kołnierz”. Redakcyjne panienki i nawet leciwa Ela Cunge biegle posługująca się pięcioma językami, chętnie uczestniczyły w kawalerskich wieczorkach. Kiedy w redakcji pojawił się Zbyszek Mejer, sporządził nawet „dziesiątkę” najbardziej trunkowych. Ubolewał, że w tym swoistym rankingu nie zajął premiowanego miejsca. W ścisłej czołówce, był natomiast Artur Cendrowski, u nas najpierw szef „działu listów”, a później „informacji”, zaś w świecie sportowym – prezes Polskiego Związku Tenisa Stołowego. Z racji bliźniaczego podobieństwa do kanclerza RFN nazwaliśmy go „Adenau-erem”. Mistrz w redakcyjnej robocie. Nawet pod gazem szybko zbierał sportowe wyniki i jednym palcem błyskawicznie wystukiwał na maszynie wszystkie tabelki.

W Bydgoszczy w meczu Gwardia – CWKS swoją pierwszą bramkę w lidze zdobył Lucjan Brychczy. W redakcji jeszcze nieznany, więc w moim sprawozdaniu znad Brdy fatalnie zniekształcono jego nazwisko. Brychaj... W sierpniu legionista debiutował w reprezentacji, a ja w „PS” w roli sprawozdawcy z meczu między państwowego. Opisałem historię **„Czterech strzelonych i wielu niestrzelonych bramek”** podczas meczu Polska A – Bułgaria A 2:2. Obie bramki dla Polski zdobył Kazimierz Trampisz. A dwudziestoletni debiutant Brychczy? Zastąpił po przerwie Józefa Kokota z ŁKS i zagrał tak dobrze, iż przez ponad następnych 15 lat bez niego trudno było sobie wyobrazić reprezentację.

W lidze grano, tak jak teraz, systemem dwurundowym, ale odległym od form zachodnio-europejskich. Obowiązywał cykl „wiosna-jesień”. Niespodziewanie mistrzem Polski została Polonia Bytom. Od początku rozgrywek nieco więcej szans na końcowy sukces miały jedenastki Ruchu Chorzów i odrodzony ŁKS, ale końcowy scenariusz był zaskakujący. W decydującym meczu Ruch tylko zremisował z Gwardią i tytuł powędrował do Bytomia. Znowu górą był Ryszard Koncewicz. Przed dwoma i trzema laty triumfował w Chorzowie, teraz sprawił prezent swoim ziomkom ze Lwowa.

Do zmiany klubu zmusiły Koncewicza przede wszystkim przepisy, a nie tylko sentyment do Polonii. Kadrowiec Huty Batory był nieubłagany: – *U nas nie ma dla trenera odpowiedniego etatu*. Kolejne mistrzostwo Polski ucieszyło Koncewicza, ale nie zaspokajało ambicji. Chciał być trenerem reprezentacji. Blisko kadry był już w roku 1952, jednak wtedy dużo więcej do powiedzenia miał Węgier Tibor Kiraly. Poza tym ówczesne władze sportu nie miały do Koncewicza zaufania. Na Olimpiadę do Helsinek, jako drugi trener, pojechał Michał Matyas. Różne były ich piłkarskie „polskie drogi”. W roku 1939 „Fajka” wyróżnił się bohaterstwem na szanćcach Warszawy, otrzymał za to Krzyż Walecznych, potem był w niemieckiej niewoli, natomiast „pan Michał” grał w latach czterdziestych w Dynamie Kijów. Miał więc „lepsze papiery”, niż Koncewicz.

### **RUCH – DYNAMO KIJÓW 5:0!**

Mistrz Ukrainy przez wiele lat pozostawał w cieniu klubów moskiewskich: Dynama, Torpeda, CSKA, Lokomotiwu i przede wszystkim Spartaka, ulubienca kibiców z całej Rosji. Także Dynamo Tbilisi z Antadze i Gogoberidze miało większe chody u komunistycznych dyktatorów. Dbał o to szef NKWD, Ławrientij Beria. Dopiero po śmierci Josefa Wissarionowicza i ścięciu Berii również kijowskie Dynamo wyruszyło w świat. Następowoło powolne przegrupowanie sił w „sportowej rodzinie radzieckich narodów”. Dynamo debiutowało w Bułgarii. Oglądał je tam red. Jerzy Zmarzlik i przed występami Gruzinów w Polsce dmuchał na zimne: *„Widowiska mogą być bardzo ładne, o co na pewno postarają się goście, ale wyniki naszych drużyn chyba znowu nie będą najlepsze.”* Oprócz Gwardii, faworyzowanej wtedy ponad wszystkie dopuszczalne normy, z „reprezentantem radzieckiego futbolu” zmierzył się Ruch Chorzów.

Nigdy nie byłem klientem Państwowej Loterii, ale nagle poczułem, że los mi sprzyja. Pojadę do Chorzowa na mecz Ruch – Dynamo, jako specjalny wysłannik „Przeglądu Sportowego”. W tamtych czasach było to wyróżnienie wyjątkowe, bo gdzie mi tam było do Aleksandrowicza lub Zmarzlika. Nie dowierzałem szczęściu. A może chcą mnie „wsadzić na minę”? Ruch dostanie niezłe baty i wtedy ja będę musiał tłumaczyć się przed Czytelnikami. Pojechałem do Chorzowa z duszą na ramieniu, ale do Warszawy wróciłem z wieńcem laurowym na głowie. Ruch rozgromił Dynamo Kijów w rozmiarach wręcz niebotycznych – 5:0! Odżył duch w narodzie. Może wreszcie piłka nożna przestanie być sportem czwartej kategorii? Odczuwało się tę dyskryminację także na łamach „PS”. Wszystkie sprawozdania z I i II ligi, niekiedy też komentarze i zapowiedzi, tabele i różne bilanse ubijano, jak śledzie w beczce, na jednej stronie gazety. Bezsensowna polityka.

Mecz w Chorzowie odbył się pierwszego listopada 1954 roku, dokładnie w dniu moich 25 urodzin. Ruch sprawił mi prezent niecodzienny. Odwdzięczyłem się „Niebieskim” entuzjastyczną relacją: **„Wielki dzień mistrza Polski!”**, **„Porywająca gra trójki Cieślik – Suszczyk – Alszer”**. Po powrocie z Chorzowa, w redakcji skromnie świętowałem swoje ćwierćwiecze. Koledzy z działu sportu, którym kierował „pan Grzegorz” znając moją słabość do literatury francuskiej, przekazali w prezencie „Dzieła wybrane” Honoriusza Balzaca. Życzenia z podpisami: Grzegorza Aleksandrowicza, Artura Cendrowskiego, Zygmunta Głuszka, Jerzego Mrzygłoda, Magdaleny Niepokojczyckiej, Eugeniusza Warmińskiego, Jana Wojdygi i Zygmunta Weissa, były budujące. *„Abys zostal w przyszłości naczelnym redaktorem wydawnictwa piłkarskiego”*. Wizjonerzy?...

Drugi mecz Dynamo, tym razem z Gwardią Warszawa zakończył się wynikiem remisowym. Na Stadionie Wojska Polskiego pojawił się Tolek Komuda, bokserskie „dziecko Warszawy”, ale też fanatyk futbolu. Zaskoczyła mnie oryginalna wskazówka, jakiej przed grą udzielił młodzieńcowi Lewandowskiemu.



– Bolek! Ty się „ruskich” nie bój... Podejź do piłki, uderz i... odejź! Jak na ringu...

Na Śląsku w niektórych klubach dość długo grę w piłkę nożną traktowano wyłącznie jako hobby. Kłopoty w pracy mieli nie tylko trenerzy, także piłkarze. W AKS-ie Chorzów, lokalnym rywalu Ruchu grał jeden z lepszych w Polsce prawych obrońców, Henryk Janduda. Pracował w Chorzowskim Zjednoczeniu Węglowym. Jak długo? Dopóty, dopóki ówczesny kapitan związkowy Zygmunt Alfus nie powołał chorzowianina do kadry. Zgrupowania, gry kontrolne, wyjazdy na mecze międzypaństwowe siłą rzeczy kolidowały z pracą. Cena tej sprzeczności interesów była wyjątkowo duża. Zaraz po udanych w roku 1948 meczach reprezentacji w Sofii z Bułgarią (1:1) i z Czechosłowacją w Warszawie (3:1), wyrzucono Jandudę z pracy. Kilka lat później AKS spadł z I ligi.

W Chorzowie zbyt długo upajano się przeszłością, latami czystego amatorstwa. Tymczasem radykalnie zmieniał się wizerunek futbolu i układ sił w kraju. ŁKS wzmocniony rezerwistami CWKS Warszawa, Gwardia pod skrzydłami opiekuńczymi MSW i MBP, a Legia Ministerstwa Obrony Narodowej, na progu sezonu 1955 były wyżej notowane. Nad Brynicą pojawiła się dotowana przez lokalny przemysł ambitna Stal, zaś w Zabrze powoli z cienia wyłaniał się wszechpotężny Górnik. Nasza liga rosła w siłę. Z racji możliwych patronów wrosły przede wszystkim akcje obu klubów warszawskich. Jednak Gwardia nadal nie miała własnego boiska; mecze najczęściej rozgrywała na stadionie Skry przy ulicy Wawelskiej i na Legii przy Łazienkowskiej.

Trwało zauroczenie węgierskimi trenerami. U schyłku 1953 roku w CWKS podziękowano za pracę Wacławowi Kucharowi i na początku 1954 zatrudniono Janosa Steinera. Na krótko adres zmienił też Kazimierz Górski. Wrócił jednak do Legii, bo na drugim krańcu Warszawy przeraziły go nadmierne skłonności biesiadne zawodników Marymontu i brak na to reakcji ze strony kierow-

nictwa klubu. Dyplom trenera II klasy umożliwił Kaziowi pracę u boku Węgra. Znał już metody szkoleniowe Koncewicza, Matyasa, Forysia, Artura Woźniaka, wiedzę teoretyczną Zygmunta Jesionki i Mieczysława Balcera, a także nieudolne przeszczepianie na nasz grunt pomysłów pociesznego Nandora Hajdu. Teraz niecierpliwie czekał, co pokaże Janos Steiner.

CWKS miał dobrą drużynę już w roku 1953, występowali w niej między innymi: Edward Szymkowiak, Jerzy Orłowski, Marian Olejnik, Zdzisław Bieniek, Józef Wieczorek, Wacław Sąsiadek, Edward Jankowski, Henryk Szymborski i Janusz Gogolewski, ale furory w lidze nie zrobili. Wypisz, wymaluj grali tak, jak ich wielcy poprzednicy z lat trzydziestych: Martyna, Ziemian, Ciszewski, Nawrot, Łańko... Traktowali mecze wybiórczo. To sprawiło, że pisano o nich, iż są *„drużyną fochów, nastrojów, grymasów, świetnie wyszkolonych wyrobników piłkarskich, którzy raczej... odrabiają pańszczyznę”*. Ich następcy z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych mobilizowali się tylko na mecze z Ruchem i Gwardią Warszawa. Łatwość, z jaką Legia pozyskiwała wówczas zawodników (teoretycznie każdy mógł być powołany do wojska), oburzała cywilne kluby bezceremonialnie okradane z najbardziej uzdolnionej młodzieży. Mnożyły się protesty. Najczęściej przydawały się psu na budę...

Mentalność zwerbowanych do Legii zawodników wyraźnie odbiegała od norm uważanych w wojsku i w sporcie za normalne. Większość z nich bimbała sobie ze szkolenia, objała się na treningach i w czasie gry. Nacisk kładziony we wszystkich krajach ówczesnej „demokracji ludowej” na dynamiczny rozwój „piłki nożnej w mundurach” u nas nie przyniósł spodziewanych efektów. W pierwszym powojennym dziesięcioleciu z drużyn tworzonych na rozkaz tylko Honved Budapeszt i Partizan Belgrad wykorzystwały wszystkie możliwości. Niepowtarzalny gwiazdozbiór! W czerwcu 1946 roku dwukrotnie oglądałem drużynę Partizana na Stadionie WP w meczach z Cracovią i wzmocnioną krakusami Legią. To, czym uraczyli



kibiców głównie Czajkowski, Bobek i i na zero ogolony Simonowicz, ukazało jeszcze u nas nieznaną głębię futbolu. To byli artyści na boisku. Maestria techniczna! Pokrzykiwano: – *Trzymajcie tego tysego! Zrobi Legii kuku!... To szatan, nie piłkarz!*

Takich piłkarzy Janos Steiner w Polsce nie miał, natomiast w Budapeszcie niejako na co dzień widział jeszcze wspanialszych: Puskasa, Kocsisa, Bozsika, Czibora, Hidegkuttiego. Budując zespół Legii wybrał drogę nieco inną, niż jego poprzednik Waclaw Kuchar. Ze starego składu zostawił tylko Edwarda Szymkowiaka i Jerzego Orłowskiego. Nowy zaciąg rozpoczął od przeglądu wszystkich drużyn piłkarskich przy jednostkach i klubach wojskowych. Los mu sprzyjał. Akurat wtedy ze zlikwidowanego OWKS Kraków trafili do Legii: Edmund Kowal, Jerzy Słaboszowski, Marcelli Strzykalski i Robert Grzywocz, Jerzy Woźniak z Kadry Rembertów, a z jednostki łódzkiej Ernest Pohl.

Z poboru doszli Antoni Mahselli i Henryk Kempny z Polonii Bytom oraz Zygmunt Pieda z Ruchu Chorzów. Dołączył do nich Henryk Grzybowski ze stołecznego Targówka. Sama młodzież. To już była drużyna na miarę mistrza Polski. A gdy jeszcze Pohl i Kowal namówili Lucjana Brychczego na grę w Warszawie, narodził się team, jakiego w przeszłości na Łazienkowskiej jeszcze nie było. Tłustawy Steiner z zadowolenia klepał się po brzuszku, ale jeszcze nie zakończył selekcji. Zrezygnował z Grzywocza, bo po intensywnym treningu „bolały go mięśnie”, ale zapragnął, by w CWKS-ie pojawił się Gerard Cieślik. Zgłosił się do prezesa klubu generała Stanisława Popławskiego i zaraz po zamknięciu drzwi gorączkowo wyjaśniał cel wizyty:

– Herr Generale, Czeszlik muss Legia spielen!...

Zaskoczony prezes milczał, dopiero po chwili z trudem wyksztusił:

– Ależ panie trenerze, Cieślik gra w Ruchu, to słynny klub z Chorzowa, wielokrotny mistrz Polski. Cieślik jest jego kapitanem, do nas nie przyjdzie, to nie możliwe... Zresztą, na Śląsku jest Markiewka...

Węgier niewiele z tego zrozumiał, utożsamił Markiewkę, znanego przewodnika pracy i posła na Sejm z „marchewką”. Nie dał więc za wygraną:

– Herr Generale, marchewka das ist Gemuese (jarzyna)... Czy w Warszawa nie ma marchewka? Jeszli Czeszlik lubi Gemuese, to i u nas moszna mu kupicz... ta marchewka.

Opowieść o próbie skaperowania do Legii Cieślika i przebiegu rozmowy trenera z generałem – długo krążyła po Stadionie Wojska Polskiego i nie tylko tam. Najchętniej o tym humorystycznym dialogu wspominał Jurek Słaboszowski na zgrupowaniach kadry, a także Franciszek Głowacki, Walery Kisieliński i Kazimierz Górski na zebraniach Rady Trenerów. Wszyscy z uwagą śledzili metody szkoleniowe Steinera: „ładowanie akumulatorów”, niektóre tricki techniczne zapożyczone z Honvedu i rozwiązania taktyczne. Te jednak traktowano z lekkim przymrużeniem oka. Zabawne było zwłaszcza przydzielanie przez Węgra indywidualnych zadań dla zawodników. Bardziej skomplikowane przekazywał drużynie przez Jurka Słaboszowskiego i Henia Kempnego, a te pozornie prostsze zagrywki w łamanym języku niemieckim sam tłumaczył:

– Hynieki (Kempny) – das ist Hidegkutti... Ernest (Pohl) das ist Puskas... Epi (Kowal) – das ist Kocsis. Co kaszde robicz? – Epi pikum – pakum i szibkie labda (piłka) do Hynieki. Kempny duszo mozsoly, rusza sze i odda pilka Epi. Kowal pikum-pakum, rata – tata, da labda Ernest i Pohl duszo bramka schiessen. Janos dzienkuja i nie ma Kopfenschmerzen (ból głowy).

Asystentów Węgra i piłkarzy zaskoczyło pominięcie przy tym „pikum-pakum” i „rata-tata” udziału Lucjana Brychczego. Pytali więc zdziwieni:

– A Kici... Co ma robić Kici?

– Ech, Kici – wzdychał Steiner – Kici das ist Kici. Bardzo dusza futbol...

Rozgrywkom ligowym 1955 roku szczególnego uroku nadawała właśnie Legia, a w niej przede wszystkim Brychczy. Już w wiosennych derbach Warszawy

(5:1) zdobył cztery bramki, a nieco później w meczu Polonia Bytom – CWKS (0:3) ujął swoją grą nawet Ślązaków. Tamtejsza prasa rzadko była przychylna Kiciemu, ale po jego przepięknym występie w Bytomiu pisała: *„Ręce same składały się do oklasków, gdy przy piłce był najlepszy zawodnik na boisku, mały czarodziej Brychczy...”*

Przed derby stolicy oba zespoły trenowały na Łazienkowskiej, Legia vis’ a vis kortów dla amatorów, a Gwardia na płycie od strony ulicy Myśliwieckiej, zwanej wtedy „Saharą”, bo nic tam nie rosło. Piłkarska Warszawa była zadowolona, że dwa kluby stołeczne brylują w ekstraklasie. Bliskie sobie rodowodem, ale jakże inne w stylu i taktyce gry. Legia grała po... węgiersku. W owych czasach była to rzeczywiście polska kopia Honvedu Budapeszt. Na jego wzór i podobieństwo Steiner budował i szkolił drużynę z Łazienkowskiej. Kładł nacisk na stałe doskonalenie techniki, w tym szczególnie strzałów, a także na stosowanie „ćwiczeń z piłką” głównie dla podtrzymywania kondycji. Na treningach Steinera nie można było się nudzić. Tryskał rubasznym humorem, ale umiał też być surowy, katował legionistów piłkarskim interwałem.

Porównywałem to z zaprawą Gwardii. Była zupełnie inna, mówiono, że „harpagony” trenują po angielsku. Trener Edward Brzozowski zanim pozwolił na ćwiczenia z piłką, najpierw aplikował całej drużynie, łącznie z bramkarzem Tomkiem Stefaniszynem, intensywne tempówki po bieżni. Było ich sporo, czasami gubiono się w liczeniu. Były też różnice w sposobie gry. „Węgierska Legia” zadziwiała autentycznym atakiem pozycyjnym (ach, gdzie te czasy?!), natomiast „angielska Gwardia” szybkim kontratakiem. Wojskowi zamęczali przeciwników dziesiątkami wyrafinowanych zagrań technicznych, natomiast milicjanci byli bardziej skąpi w prezentowaniu boiskowych fajerwerków. Uwielbiali długie przerzuty.